

marzec '96

na przykład

kultura i ekologia - miesięcznik

Nr 35 ISSN 1231-0B530 INDEKS 321656 cena 1.50 zł
15 000 zł

Najnowsze przedstawienie w Teatrze im. J. Osterwy, którego premiera miała miejsce 11 lutego, jest - najprościej mówiąc - bardzo sympatyczne. Inscenizacja *Mieszczanina szlachcicem* Moliera stanowi zgrabny kompromis między analizą duszy człowieka ogarniętego manią zostania arystokratą a sceniczną dekoracyjnością. Tak więc przykre prawdy o naturze ludzkiej są nam osłodzone radością zabawy, jaka towarzyszy ich naoznianiu. Harmonijne proporcje między tymi elementami są zaśługą układu tekstu, którego dokonał reżyser przedstawienia Cezary Karpiński. Podzielił on sztukę na dwa akty.

Pierwszy to studium charakteru Pana Jourdain, arcyznoba cierpiącego na kompleks mieszczaństwa, z którym radzi sobie w najbardziej płytki i powierzchowny sposób - na drodze nieudolnego naśladownictwa ludzi z wyższej sfery. Przy czym widzimy pułapki czekające na tego prostaka spragnionego społecznego splendoru - przede wszystkim nieumiejętność rozpoznania „dobrego towarzystwa” oraz zrozumienia, że szlachectwo dotyczy w pierwszym rzędzie formatu duchowego opartego na głębokich fundamentach wiedzy i tradycji. Tymczasem bohater zaspokaja swą próżność, wzorując się na ludziach, którzy wprawdzie formalnie należą do „dobrze urodzonych”, ale w sensie moralnym tak hrabia Dorant, jak i adorowana przez niego markiza Dorymena są podejrzanymi figurami. Mieszczanin aspirujący do szlachectwa jest tyleż zabawny, co i zatrważający. Tym bardziej że problem ten - zdaje się - ostatnio zyskał na aktualności, co w lubelskim przedstawieniu zostało - bez żadnej nachalności - podkreślone delikatnymi odniesieniami do współczesności. Pogoń za blichtrzem, powierzchowność wykształcenia i znamiona oglady - oto, w czym zawiera się istota niezdolności do awansu społecznego. I jeszcze nieświadomość owych przeszkód.

Aby lepiej sportretować głównego bohatera, jego sylwetka jest zestawiona z nieco okrojonymi w stosunku do oryginału postaciami. Na tyle jednak wyrazistymi, że pozwalają zaistnieć Panu Jourdain w pełnej krasie. I tak jest on skontrastowany z prostolinijnością Kleonta, niechcianego kandydata na zięcia.

Natomiast żona dookreśla niewysoki status mentalny ich obydwójka. Jest wprawdzie wolna od kompleksu pochodzenia i prezentuje się jako osoba trzeźwo patrząca na rzeczywistość, lecz nie pozbawiona trywialności.

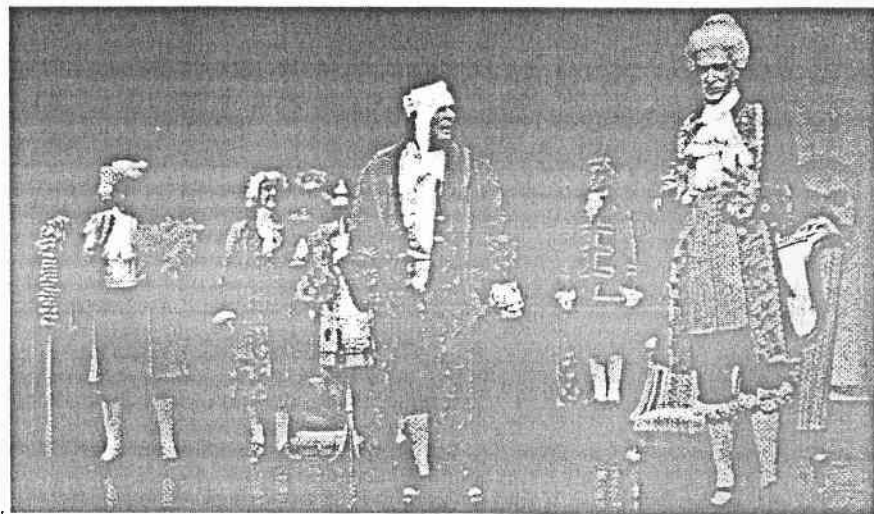
Drugi akt - „ceremonia turecka”, to głównie zabawa wynikła z oglądania scen w konwencji komedii dell'arte - feeria barw, błaznady w orientalnym sztafażu, będące atrakcją same w sobie. Na dodatek tak wkomponowane w intryggę, że obracają w niwecz wszystkie zamysły bohatera i stawiają kropkę nad jego naiwności tożsamej już z głupotą.

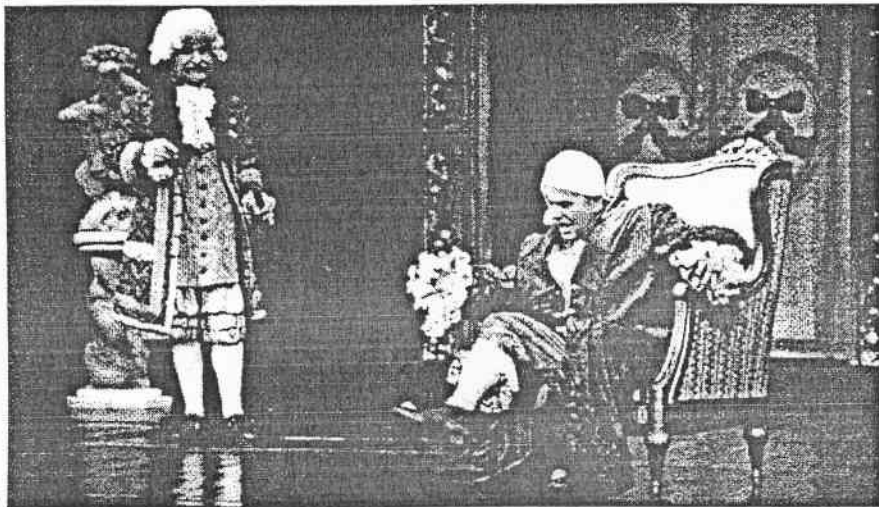
Sztuka ma swoje słynne sceny, których wykonanie przeszło do historii. Żeby nie sięgać zbyt daleko w przeszłość - Bogumił Kobiela (Pan Jourdain) i Kazimierz Rudzki (Nauczyciel Filozofii). W lubelskiej inscenizacji zabrakło wprawdzie aż tak wybijających się kreacji, tym niemniej aktorstwo układało się na dobrym równym poziomie. Zbigniew Szejman w tytułowej

roli stworzył komiczny charakter z rodziny molierowskich przedstawicieli wad i występków, w czym nie przeszkodził mu brak vis comica. Anna Świetlicka (Pani Jourdain) wykreowała zdeteminowaną w działaniu żonę - stanowczą wobec wszystkich, którzy zakłócają zwykły porządek domu i rodzinie serdeczną w stosunku do Kleonta, w którym widzi nie tylko bliską córcę osobę, ale także „swojskiego” zięcia, akceptującego mieszczański obyczaj. Duet: Teresa Filarska (Dorymena), Piotr Wysocki (Dorant) prezentował się powabnie, co było istotnym zadaniem tej pary, gdyż ich zewnętrzne walory miały skutecznie mieć bohatera. Ale oczywiście zalety gry aktorskiej dopomagały osiągnąć właściwy efekt. Należałoby wymienić właściwie wszystkich, bo w przyjęciu spektaklu przez publiczność mają swój równy udział. Jednak nie sposób tego zrobić. Wtęc jeszcze tylko parę wybranych ról. Tomasz Bielawiec (Covielle, słuzący Kleonta) wnosil na scenę radość, moc sił

Magdalena
Jankowska

Imperia upadają





charaktery pozostają

witalnych oraz urok prostoty, nie wykluczającej wszak skłonności do drobnych szelmostw tkwiących w jego naturze. Postać ta ma swój żeński odpowiednik w osobie Aliny Kolodziej (Michasia, służąca pana Jourdain), która w niewielkiej roli odznaczyła się wieloma scenicznymi przymiotami. Ogromnym wdziękiem wykazał się Wojciech Dobrowolski (Nauczyciel Tańca). Wyrażenie to sprawiła lekkość i elegancja ruchów w tańcu - solo lub z Anną Torończyk (Pasterką). I jeszcze Jerzy Rogalski (Nauczyciel Filozofii), wykorzystujący kontrast między komiczną fizjonomią i powagą profesji. Sprawił widzom wiele wesołości, podobnie jak Paweł Sanakiewicz (Lokaj), który wykonywał swe etudy w spowolnialnym tempie charakterystycznym dla pijanych, co udają trzeźwość.

Spektakl ten wiele zawdzięcza wrażeniom plastycznym osiągniętym przez scenografów Barbarę i Macieja Wołosiuaków. Większość kostiumów udała im się znakomicie. Dzięki nim

postaci tworzą kompozycje wystylizowane np. na figurynki z saskiej porcelany. Wielka to przyjemność dla oka. Natomiast dekoracja mniej zachwyca. Z pozoru oszczędna, w istocie zaś „przegadana”, z jakimś dysonansem stylistycznym - drzwi zdobione z wyrafinowaną precyzją, ornamentyka fasady toporna - który chyba niczemu nie służy. W przeciwieństwie do żyrandola w kształcie dwu łabędzi, znakomicie zdradzające go gust właściciela wnętrza.

Resztę walorów estetycznych spektaklowi przydał: Ryszard Komorowski, autor muzyki, i Rajmund Sobiesiak, choreograf.

Przy okazji *Mieszczanina szlachcicem* w reżyserii Cezarego Karpińskiego chcę wspomnieć - nadrabiając zaległość - o jego innym przedstawieniu. W czasie ferii zimowych Teatr im. J. Osterwy przypomniął dzieciom *Sindbada* Bolesława Leśmiana (w adaptacji Marii Straszewskiej). Wspólne dla obu scenicznych przedsięwzięć jest to, że obydwaj zawierają

orientalnie stylizowane tańce autorstwa tego samego scenografa - Rajmunda Sobiesiaka, które stanowią, jak cały ruch sceniczny, ich silny punkt. W obydwu też reżyser panuje nad zespołem, osiągając wyrównany poziom aktorstwa i gwarantując napięcie tempo gry, oraz znajduje sposoby porozumienia z widownią - tak różną przecież. Tak więc można powiedzieć, że Cezary Karpiński, przyjmowany z niejaką rezerwą i czekający na artystyczne uwiarygodnienie się, tymi przedstawieniami przekonał do siebie jako reżysera.

Aby jednak prawda o *Sindbadzie* była pełna, nie można pominąć szczególnych zasług scenografa - Teresy Ponińskiej. Jej dekoracja tak gospodaruje przestrzenią, iż zmienia ona nie tylko wielkość geometryczną, ale przestacza też swój walor emocjonalny. Sceniczna głębia jest tu regulowana różnymi odcieniami nieba i stopniem przejrzystości powietrza. Raz zdaje się bezkresna, raz swą granicę wydaje się mieć na morskim brzegu, leżącym tuż na wyciągnięcie ręki. Dal budzi jakąś tęsknotę, złuda obcowania z wodą urzeka magią. Kolejne „obrazy” zdają się cytatami z natury - tej nie zasłoniętej betonowymi konstrukcjami i nie zasypanej cywilizacyjnym śmietnikiem. To przecież ważne, żeby dzieci obcowaly z widokami obejmującymi jak zachód słońca nad morzem. A wykreowana światłem przestrzeń dobrze stymuluje przeżyciami młodych odbiorców.

MIESZCZANIN SZLACHCICEM Molière, przekł. - Tadeusz Boy-Żeleński, opracowanie tekstu i reżyseria - Cezary Karpiński, scenografia - Barbara i Maciej Wołosiuakowie, muzyka - Ryszard Komorowski, choreografia - Rajmund Sobiesiak, premiera - 11 lutego 1996

SINDBAD Bolesława Leśmiana, adaptacja - Maria Straszewska, opracowanie tekstu i reżyseria - Cezary Karpiński, muzyka - Jerzy Milian, scenografia - Teresa Ponińska, choreografia - Rajmund Sobiesiak

PS. Tytuł recenzji jest cytatem z tekstu Jana Polewki umieszczonego w programie do przedstawienia.

zdj. 1 - scena zbiorowa, na pierwszym planie: Krawiec - Andrzej Redosz, Pan Jourdain - Zbigniew Szejman; zdj. 2 - Pan Jourdain - Zbigniew Szejman, Nauczyciel Muzyki - Jan Wojciech Krzyszczak